

# BRENNSCHLUSS

MARCIN PINIAK

Tam na dole pod tym mostem rośnie miasto. Wielkie dzikie zwierze, które w swych ciasnych dusznych bebeczach więzi miliony istnień, zakutych w dyby marzeń, które w nocy pod powiekami skurczonych ciał stają się jedynie niespełnioną obietnicą, która w ostrym świetle dnia jest jak rana. Księżyc jest niczym moneta ostatniej drogi wciśnięty w oczodół wszechświata.

Każda myśl to kryształ soli, który nim zniknie w ranie, przesyje twoje ciało nagłym spazmem bólu. W zwierciadle czarnej rzeki faluje twoja twarz, która jest jedynie pożyczoną maską, tanim rekwizytem, który ukradłeś z zaplecza, kiedy nikt nie patrzył. Teatr, w którym grasz ma wielokondygnacyjne sceny jak w podziemnym garażu, albo hipermarkecie. To nie jest łatwa rola, tym bardziej, że wiesz już dobrze, na końcu nie będzie braw i okrzyków entuzjazmu. Najwyżej cichy szmer, kilka splunień.

Zdarzenia tej nocy są jak więzienne sznyty. Mdły zapach spalonego ciała. Wymioty. To podchodzi do gardła. W żołądku masz gęsty i ostry muł, jakbyś połykał szklaną watę. Sam siebie zjadasz, wydrapując każdy kęs. Niełatwo to przełknąć i strawić – kołowrót twarzy, słów, ten wielki żałobny taniec zalewający ulice jak sygnał jazgoczących karetek i wozów policyjnych. Mijane mury zaryglowanych ludzkich ciał, po których spływają tanie alkohole i owocowe soki, pobłyskujące od czasu do czasu imitacjami uśmiechów.

Mógłbyś tutaj zasnąć i przyśnić jeden z tych ciepłych snów, który pachnie rosą, a ty przytulasz twarz do ciepłej skorupy ziemi. Kiedy w odwiecznym bezruchu patrzysz w błękit i zastygasz, gubiąc kajdany czasu, a przestrzeń jest jak cichy kokon wypełniony miłością. Zupełnie jak wtedy, kiedy przez okno patrzyłeś na grzbiety zaśnieżonych dachów i wiedziałeś, że wszystko jest na swoim miejscu. Dokładnie tam, gdzie powinno być. Słyszałeś jej rytmiczny, spokojny oddech, a jej śniade piersi pachniały lawendą. Kwiaty stały w wazonie na stole obok solnej lampy, a pomiędzy leżało kilka zapisanych wierszami kartek.

Było cicho, jak na pustym bezkresnym polu, po którym biegałeś w dzieciństwie szukając bajkowej bramy, za którą usłyszysz mowę zwierząt i kamieni.

Teraz możesz to usłyszeć. W tej tchawicy, w nabrzmiąłych płucach obcego miasta. Dyszysz próbując uciec daremnie słysząc wrzask zwierząt i kamieni, a wszystko płonie żywym ogniem. Twój strach zdradza cię natychmiast, kiedy o zmroku słaniasz się w nadziei ucieczki. Już to znasz.

To już było – jak wszystko. Jak ta ulica, którą biegłeś w noc, widząc przed oczyma ich porzucane niedbale ciała pogrążone w alkoholowym amoku. Pulsujący nerw na skroni, kiedy zaczyna brakować powietrza, a ciało zaczyna krzyczeć, że nie ma, dokąd zbiec, bo wszystkie drzwi zostały zatrzaśnięte. Klęczysz na betonowym wiadukcie, w aureoli ulicznych lamp i twoja modlitwa jest zwierzęcym charczeniem, jest granicą oddzielenia. I nagle wszystko zwalnia, gubiąc rytm. Stajesz się intruzem we własnym wnętrzu – nie potrafiąc do końca uwierzyć i do końca zwątpić. Jesteś obcy ziemi i niebu, kołyszącym się wahadłem pomiędzy życiem i śmiercią. To rozdarcie staje się znakiem Kaina.

To cię teraz spala. Spirale ognistych tęczy przeszywają cię jak pociski. Nie zdołasz uciec przed tubalnymi wrzaskami śmierci, przed ich strachem w tobie, oni wszyscy tam są. W środku. Pomiędzy żebrami – wstają o świcie, by jeszcze raz uwierzyć i zacząć to wszystko od nowa.

Kiedy mgła osiada na szarych oknach i zapalają się pierwsze światła oni taszczą swoje krzyże opakowane w jednorazówki tesco. Piją tanią kawę, zapalają papierosy i stoją czekając na światło kołysząc się posępnie na skrzyżowaniach dróg. Później zaczynają te wszystkie pozbawione znaczenia rozmowy, żeby uciec przed ciszą. Kupują te wszystkie rzeczy, żeby wypełnić tę pustą przestrzeń pomiędzy podmiotem i orzeczeniem. To działa na jakiś czas. Na kilka okrążeń zegara wieczności.

Nie masz miejsca. Nie jesteś stąd. Jesteś tylko podróżnikiem, mijającym kolejne stacje, a twój dom to, co najwyżej kilka ławek pośród kolejowych bocznicy i okna w przedziałach. Próbujesz to przejść kreśląc umowne linie horyzontu, ale masz problem z orientacją i ciągle mylisz kierunki.

Lubisz się też zgubić, wtedy bywasz bardziej otwarty i gościnny. Wtedy przestajesz się spieszyć i otwierasz notes lub komputer, bo musisz sobie parę rzeczy wyjaśnić. Gdybyś tego nie zrobił pewnikiem byś oszalał gubiąc wszystkie wątki.

Jesteśmy tacy niemiłosiernie osobni za tymi ścianami. Za murami języka. W tej kakofonii zdarzeń i miejsc.

Tam w dole tonie miasto. Wielki ślepy szczur.